

Promieniowanie krwi ludzkiej

Nowe metody walki z rakiem

Pogawędzimy dziś o rzeczach bardzo dziwnych, tak dziwnych że chwilami będą przypominały od czytania o spirytyzmie i przepowiedniach przyszłości. Czytelnik przekona się jednak, że fantazja graniczy z prawdą, a abstrakcyjne zdawałoby się odkrycie może być wyzyskane do celów praktycznych.

Jasnowidz Ossowiecki, który dostrzegł tak zw. aureę dookoła pewnych osób, spotykał się często z niedowierzaniem. Trudno było sprawdzić jego twierdzenia. Dziś nauka śpieszy jasnowidzowi z pomocą, a promieniowanie ciał ludzkich (aura) nie daje powodów do żadnych wątpliwości. Wiemy, iż w ściśle określonych warunkach promieniują nie tylko komórki ludzkie, lecz i zwierzęce.

Ten nowy rodzaj promieni nazywano promieniami „mitogenetycznymi”. A ponieważ ciała osób zdrowych promieniują zupełnie inaczej, niż osób chorych, łatwo przewidzieć, że opracowanie tego przedmiotu może mieć duże znaczenie przy stawianiu diagnozy.

ODKRYCIE PROMIENI

Nie odrazu odkryto te promienie. Droga do ich wysledzenia była uciążliwa. Zauważono, że niektóre tkanki i komórki mają własność wysyłania promieni przy podgrzewaniu lampą kwarcową, promieni z kategorii ultrafioletu.

Tego rodzaju promienie są wydzielane przez kijanki, krew młodych żab, niektóre bakterie i wreszcie przez mięśnie w chwili skutku oraz komórki nowotworów złośliwych.

Dalszym ciągiem tych odkryć było stwierdzenie, że inne znowu komórki reagują żywo na promieniowanie, nieczem detektory na fale rozgłośni. Jako przykład może służyć rogówka oka żabiego, wyjątkowo wrażliwa i chciwie wchłaniająca promienie „mitogenetyczne”.

Dalsze odkrycia były bardziej rewelacyjne, gdyż dotyczyły krwi osób dotkniętych ciężkimi chorobami. Wszliśmy na drogę, która prowadzi do nowych sposobów rozpoznawania choroby i wysnuwania wniosków, co do jej przypuszczalnego przebiegu.

KREW PROMIENIUJE

Przed 10 laty zwrócono uwagę, że nie tylko pewne komórki, lecz i krew wysyła promienie ultrafioletowe o fali ściśle określonej długości. Nikt jednak nie przypuszczał, jak duże znaczenie może mieć w terapii tego rodzaju odkrycie. Dziś wiemy, że promieniowanie krwi jest zmienne i kapryśne, że zależy od wielu czynników, a przede wszystkim od zdrowia osoby badanej. Wiemy na podstawie doświadczeń, że krew osób chorych na raka nie wysyła promieni.

Zaburzenia w promieniowaniu występują przy anemii złośliwej, gruźlicy, zakażeniach pewnymi bakteriami, zatruciach związkami chemicznymi i alkaloidami, przepuszczaniu prądu elektrycznego przez krew i t. d.

Kaprysy krwi promieniującej nie mają granic. Wystarczy dość silna dawka chininy, by przerwać promieniowanie. Zdolność wyzwalania promieni znikają, jeżeli pacjent głoduje, pracuje ciężko, nie śpi, lub jest zatruty nikotyną.

Sprawa gmatwa się coraz bardziej i wymaga od lekarza dużej uwagi. Zwalczając, że pomyłki mogą wynikać z innych przyczyn.

MOŻLIWOŚĆ BŁĘDÓW

Jedną z takich pomyłek może wywołać zastrzyk roztworu cukru glukozowego. Gdyby wypadło badać krew chorego na raka, któremu przedtem zrobiono taki zastrzyk, stwierdzilibyśmy intensywnie promieniowanie. Znaleźlibyśmy przy analizie spektralnej linie charakterystyczne dla promieni „mitogenetycznych”, co utrwaliłoby przekonanie, że mamy do czynienia z osobą zdrową. Oplakane skutki takiej diagnozy nie dalyby długo na siebie czekać.

Wyobraźmy sobie, że lekarz podejmuje się zbadać krew osoby, podejrzanej o raka. Wiedząc, że krew jest kapryśna, doświadczonego lekarza nie będzie się śpieszył z pobraniem próby, lecz dokładnie zbada chorego i zaleci mu krótki wypoczynek. Rozmawiając w sposób uprzejmy, postara się

dowiedzieć, czy jego pacjent nie nadużywa jakich lekarstw lub narkotyków, czy nie jest przepracowany i czy stosunki rodzinne nie wpływają ujemnie na stan jego nerwów.

Jednym słowem, jeżeli lekarz chce być pewny swej pracy, musi przedtem usunąć to wszystko, co poza właściwą chorobą wpływa na promieniowanie. Zaleci pacjentowi spokój, odsuniecie się od trosk codziennego życia, a w razie konieczności podda go obserwacji.

PROBA Z DROŻDŻAMI

Komórki nowotworów promieniują, podczas gdy krew osób chorych na nowotwory nie wysyła promieni. Zdolność promieniowania znika również przy chorobach takich, jak gruźlica i anemja złośliwa.

Wiedząc o tem, przejdźmy do doświadczeń z hodowlą drożdży. Podczas gdy jedne ciastka promieniują, inne wchłaniają te promienie. Do drugiej kategorii należą drożdże i dlatego zaczęto je używać podczas doświadczeń.

Naswietlając drożdże krwią ludzką, obserwujemy, że krew gruźlików i osób anemicznych wywiera na drożdże wpływ znikomy, a krew rakowatych nie wywiera wpływu żadnego, jeżeli przykryjemy kulturę drożdży płytą kwarcową.

Stwierdzenie tych faktów jest ważne, zbliża bowiem nas do rzeczywistej metody rozpoznawania raka. Gdyby metoda okazała się niezawodna, co jest możliwe, wówczas znikłyby tak częste wątpliwości, z którymi spotyka się lekarz. Niestety dziś nigdy nie możemy odpowiedzieć na pytanie, czy operacja usunięcia nowotworu była uwięziona powodzeniem, czy nie będzie przerzutów, a więc powrotu. Niepewność zatrzymującą chorego spokój, można by usunąć raz na zawsze.

PO OPERACJI

Przeprowadzono mnóstwo badań krwi osób chorych na raka, przed operacją i po operacji. Wy-

nikami są naogół zachęcające. Niektórzy badacze, pracując zbiorowo, ogłosili wnioski, które da się streścić w sposób następujący: 1) Krew osoby operowanej może odzyskać zdolność promieniowania 2) Jeżeli promieniowanie powraca i utrzymuje się trwałe, mamy prawo przypuszczać, że zabieg doprowadził do wyleczenia 3) Brak promieniowania krwi po operacji każe przypuszczać, że skutki zabiegu nie będą trwałe.

Widzimy, jak bardzo ostrożni są lekarze i starannie, jakby dyplomatycznie formułują swe wnioski. Nie powinno to nikogo dziwić, jeśli się zważy, że uniknięcie błędów jest uzależnione nie tylko od zdrowia, lecz i od nastroju pacjenta. Wstrząs psychiczny, chwila zwątpienia, blaha zdawałoby podrażnienie, wszystko to wpływa na promieniowanie i może doprowadzić do fatalnych pomyłek.

Dużo wody upłynęło, nim nowa metoda badania krwi na nowotwory zyska prawo obywatelstwa w świecie lekarskim i nim stanie się równie niezawodna, jak popularne sposoby poszukiwania białka, cukru i t. p.

Medycyna odniosła duży sukces, gdyż odkrycie promieniowania „mitogenetycznego” przyniesie nam niewątpliwie szereg radośnych niespodzianek. Poznajemy coraz lepiej przedziwną aurę, dostrzegalną dla nielicznych medyków, dziś już dającą się uchwycić i skontrolować w ciszy laboratorjum.

Dr. A. Hempel.

Tajemniczy klub „Pąsowej Orchidei”

Potężna organizacja piracka w Chinach

Tajemniczość i skłonność do konspiracji leży w naturze skośno-och mieszkanców krainy Żółtego Smoka. Dzisiejsze Chiny obfitują w szereg organizacji tajnych, związanych dla różnych celów. Niektóre z nich mają podłoże czysto polityczne, inne posiadają charakter socjalny, inne jeszcze — poprostu są związkami rabusiów i piratów, którzy tworzą silną organizację, posiadającą potężną władzę.

ZWIĄZEK PIRATÓW

Jeden z potężniejszych związków — to „Klub Pąsowej Orchidei”. Cóż się kryje pod tą romantyczną nazwą? „Pąsowa Orchidea” to poprostu tajny związek przemyślników i piratów, organizacji, która wywiera duży wpływ na cały handel przy wybrzeżach Błękitnego Państwa. Jest to, trzeba przytem dodać, związek niedostępny i jakby „arystokratyczny”. Jest to klub, do którego należy sama śmietanka świata pirackiego Chin. Członkowie „Pąsowej Orchidei” uważają się za stanowczo coś lepszego od członków klubu „Błękitnego Smoka”, — organizacji trudniącej się ordynarnym gangsterstwem i kidnaperstwem — co uważane jest przez szanujących się piratów za zajęcie podległej kategorii i odpowiednio jedynie dla plebsu.

Dostanie się do „Pąsowej Orchidei” — Klubu, liczącego bądź co bądź 40 tysięcy członków — nie jest zbyt łatwe. Chińczyk, który pragnie być tam przyjęty, musi przede wszystkim wykazać

się szlachetnym pochodzeniem, ponadto winien posiadać dobre wykształcenie oraz być człowiekiem bezwzględnie pewnym, który nie zdradzi organizacji.

ZAPRYSIĘŻENIE KANDYDATÓW

Po zebraniu odpowiednich informacji o kandydacie, następuje jego zaprysiężenie na wierność organizacji. Niewątpliwie każdy przypuszczalby, że taka uroczystość odbywa się w warunkach niesłychanie tajemniczych, być może w jakiejś grocie, przy świetle latarni lub też przed tajemniczym bóstwem.

Wszystko to wygląda jednak zupełnie inaczej. Według opowiadań naocznego świadka, który obecny był przy tego rodzaju ceremonii — zaprysiężenie odbywa się w zgola odmiennych warunkach.

„Pąsowa Orchidea” jest nie tylko tajną organizacją piratów, trudniących się napadaniem na handlowe statki i rabujących co się da, ale jest także i organizacją handlową, posiadającą własne, wspaniałe urządzone biura. Wyższe władze „Pąsowej Orchidei” urzędują w luksusowo umeblowanych gabinetach i korzystają z wszelkich nowoczesnych udogodnień, jakie tylko mogą mieć zastosowanie w biurowości. Mają do rozporządzenia setki sprawnych stenotypistek i własne centrale telefoniczne.

W tak urządzonych apartamentach, odbywa się uroczyste zaprysiężenie nowego członka,

wstępującego do klubu. W całym tem otoczeniu — egzotyczni są tylko sami członkowie. W gabinecie, stoi po środku chińczyk ubrany po europejsku i głosem monotonnym, jakby recytował modlitwę — wypowiada słowa przysięgi.

Nowy członek przysięga na prochy swoich przodków — że nie zdradzi organizacji. I w tej przysiędze jest ukryta cała dusza wschodu. Bo nawet najgorszy złoceńca w Chinach posiada jedną, jedyną rzecz, która jest dla niego zawsze najświętsza — to jest pamięć jego ojców. I dlatego władze tajnej organizacji wymagają tego rodzaju przysięgi — wiedzą bowiem napewno, że jest to zaprysiężenie, którego nie złamie żaden chińczyk, nawet w obliczu groźby śmierci.

Organizacja „Pąsowej Orchidei” osnuła całe Chiny misterną nicią konspiracji i wszędzie posiada swoich członków, którzy dostarczają informacji, gdzie, jak i kiedy można dokonać napadu, gdzie jak i kiedy przewozić będzie większy transport towaru, na który warto urządzić napad. Pracują w bankach, w urzędach, w centralach telefonicznych, w biurach okrętowych — wszędzie czuwają, stanowiąc — czy i uszy „Pąsowej Orchidei”.

ARMIA SZPIEGÓW

Ale nie wszyscy członkowie klubu władają poprawną angielszczyzną, nie wszyscy posiadają majątki, nie wszyscy są potężni i nieuchwytni. Istnieje cała armia szarych, nędznych ludzi, którzy są na usługach klubu, którzy wykonywują zlecenia, a wzamian mają zapewnioną opiekę. Korzystają z tej opieki m. in. właściciele dzonek. „Pąsowa Orchidea”, ma w ten sposób do rozporządzenia flotę składającą się z 30 tysięcy dzonek, armję wiernych i oddanych ludzi.

Ponieważ jest to organizacja piracka, trudniąca się rozbojem, władze miejscowe ścigają jej członków i karzą surowo w razie schwytania. Oczywiście, że schwytani należą najczęściej zawsze do najmniej winnych wykonawców zleceń — a władze klubu kierujące rozbojami są nieuchwytnie.

JAK ODBYWA SIĘ EGZEKUCJA

Dla odstraszającego przykładu schwytany pirat skazany bywa przeważnie na karę śmierci przez ścięcie toporem. Mieszkańcy Chin przywykli do tego rodzaju widowisk odbywających się na placach publicznych. Ceremonja jest nieskomplikowana. Skazaniec przeprowadzony zostaje przed oblicze władz asystujących przy odczytywaniu wyroku. Ponieważ jest dobrze wychowany, więc jeszcze po raz ostatni w życiu składa głęboki, pełen uszanowania ukłon w stronę władzy oraz w stronę swojej rodziny, która towarzyszy mu podczas egzekucji. Na znak żałoby wszyscy członkowie rodziny ubrani są białe.

Po złożeniu ceremonialnego ukłonu, skazaniec rzuca ciekawe spojrzenie na trumnę, w której po egzekucji spoczną jego zwłoki. Jeśli rodzina jest kochająca, stara się, aby trumna była jaknajbardziej luksusowa. Tradycja każe, by skazaniec zapytał o cenę trumny. Rodzina odpowiada z dumą i rozrzewnieniem, że za trumnę zapłacono aż 50 dolarów. — Pięćdziesiąt dolarów — twarz skazaniec rozpamiętuje uśmiech zadowolenia. Jest szczęśliwy — trumna za pięćdziesiąt dolarów — to prawie jak mandaryna. Czemuż jest wobec tego ten moment śmierci, jeśli się ma tę pewność, że do czasu sekcji spoczną w tak wspaniałej trumnie? Pogodnie przyklepa skazany pirat i skłania głowę pod topór. Jeden błysk ostrza. Koniec.

A potem rodzina pirata powróci spokojnie do domu i wyda trzydniową ucztę na jego cześć. Wspominać będą jego męstwo i odwagę, spokój, w uśmiechem, bez łez. Ludzie Wschodu nie płaczą. Potem jeszcze zapalą na jego cześć lampkę, a błękitny, drgający płomyk przypomni im o jego pięknej duszy, która odeszła do duchów przodków. Jeśli skazaniec miał brata, i żonę — brat sprząda ową żonę i zarobi w ten sposób trochę yen — bo czasy są ciężkie w Niebieskim Państwie.

Koniec kariery niemieckiego „starca”

Rozwiązanie sekty Weissenberga

Skazany niedawno na więzienie za przestępstwa natury obyczajowej, Józef Weissenberg należał niewątpliwie do najbardziej oryginalnych postaci w stolicy Niemiec. Półtoraroczne więzienie będzie końcem kariery 80-letniego starca.

Jego „działalność” ograniczała

się do stolicy i najbliższych jej okolic. Posiadał on dziesiątki tysięcy gorących wielbicieli, a założony przez niego „Kościół ewangelicki św. Jana”, liczył w Berlinie 17 gmin, a w jego okolicach 650 gmin.

DOROŻKARZ — WRÓŻBITA

O szochlu ubiegłego stulecia Weissenberg był najpierw mularzem, który to zawód zamienił później na dorożkarski. Ponieważ i nowy zawód nie dawał mu tego, czego pragnął od życia, porzucił pracę zarobkową w ścisłym tego słowa znaczeniu i zostaje znachorem, wróżbitą i politykiem.

Społeczeństwo przedwojenne, zwłaszcza w tak wielkim mieście jak Berlin, nie było podatnym gruntem dla szarlatanów. Po wojnie jednak psychoza ogarnęła cały naród niemiecki, który w zjawiskach nadprzyrodzonych szukał ucieczki przed myślami o klęsce. W takiej właśnie atmosferze Weissenberg rozwijał swe talenty znachora.

HERBATA LEKARSTWEM

Do jego mieszkania, znajdującego się w robotniczej dzielnicy, Berlina, zgłaszały się coraz liczniej pacjenci, którzy pragnęli „wyleczenia”. Weissenberg posiadał własne metody leczenia, lecz np. przez nakładanie na bolące miejsca rąk a niekiedy przy swych „zabiegach” posługiwał się medjum. Potrafił przyrządzać specjalne mieszaniny herbaty, które posiadały podobno własności lecznicze.

Nawet teraz, podczas procesu o obrazę moralności, Weissenberg twierdzi, że posiada wielką siłę „magnetyczną”, dzięki której może leczyć wszelkie choroby, nawet raka.

Sława znachora rozchodzi się po całym robotniczym Berlinie. Jego wielbicieli dochodziło do fanatyzmu, nazywając mistrzem, prorokiem, a on sam utrzymywał, że wszystkie jego zabiegi są boskiego pochodzenia. Z czasem dochodziło do tego, że Weissenberg prowadził dookoła siebie — choć jest człowiekiem prostym, bez żadnego wykształcenia — dziesiątki tysięcy ludzi, całkowicie sobie oddane.

SEKTA FANATYKÓW

Okres powojenny w Niemczech — to czas zgromadzeń, masówek przy piwie. Weissenberg zwoluje swych zwolenników do zadymionych lokali północnego Berlina lub też jego przedmieść. Z tych

zebrań wylania się powoli nowa sekta, którą twórca nazwał „Kościół ewangelicki św. Jana”. Zebrania tej sekty stanowią mieszaninę cech zwykłych zgromadzeń i religijnego fanatyzmu.

Weissenberg nie przemawia na nich, lecz wygłasza kazania. Po każdym kazaniu następuje moment wyczekiwania: to „święty duch” nawiedził ma w tej przerwie poszczególnych członków gminy. Istotnie, po kilku chwilach z różnych miejsc sali, w której odbywa się zebranie, rozlegają się pojedyncze głosy kobiet i mężczyzn, znajdujących się najwidoczniej w pewnego rodzaju ekstazie. Ich głosy zamieniają się wkrótce w krzyk, a Weissenberg oświadcza, że przez ich usta przemawiają bądź zmarli, którzy tą drogą wydają pewne polecenia, bądź też sam Bóg zapowiada co się stanie.

Weissenberg dla swych gorliwych zwolenników zbudował w okolicy Potsdamu duże miasteczko. Tu powstała świątynia sekty, mogąca pomieścić trzy tysiące osób i wychodziło pismo „Biała Góra”. Twórca sekty był wójtą gminy oraz kapłanem.

„KAZANIA” WEISSENBERGA

Weissenberg w okresie, kiedy w Niemczech na wszystko patrzono pod politycznym kątem widzenia, nie mógł odbiegać od śródwiśła, w którym działał. I on miał więc poglądy polityczne. Był przeciwnikiem republiki, uważał jedynie barwy cesarstwa. Podczas „kazań” brał na siebie rolę medjum, za którego pośrednictwem do narodu niemieckiego przemawiały duchy Bismarcka, Fryderyka Wielkiego i innych. Te same duchy — utrzymywał Weissenberg — dyktowały mu artykuły do „Białej Góry”, czytelnik więc znajdował w nich to, co Luther, Bismarck lub też Moltke sądził np. o planie odzyskania Younga, lub też o dekretych rządu niemieckiego.

Hitlerizm patrzyłby napewno przez palce na sekiarską działalność Weissenberga, gdyby nie owo wywoływanie duchów wielkich Niemców. Bo i po zwrocie hitlerowskim Weissenberg nadal podczas „kazań” przemawiał w imieniu twórców niemieckiej przeszłości, nie liczył się wcale z nastrojami obecnych władz i w usta duchów wkładał wiele krytycznych uwag pod adresem Trzeciej Rzeszy.

35 tys. km. przelecieli szybownicy

Na zawodach szybowcowych w Röhn

Już wkrótce odbędą się pierwsze w Polsce wielkie zawody szybowcowe na szybowisku w Ustjanowej. Będzie to jakby egzamin naszego szybownictwa i próba naszych sił na tem polu. Narazie wiadomo, że do zawodów stanie 34-ch pilotów szybowcowych, w tem cztery kobiety.

Niedawno odbyły się w Röhn, w Niemczech, doroczne ogólnoniemieckie zawody szybowcowe. Warto przytoczyć garść danych o tych zawodach na marginesie oczekujących nas polskich zawodów.

Niemcy odmówili prawa do udziału w zawodach szybowcowych kobietom. Do zawodów stanęły wyłącznie szybowce konstrukcji niemieckiej. Starty odbywały się ze spadochronami. Wyniosła nagród pieniężnych wyniosła 55 tys. marek niemieckich (110 tys. zł.). Poza tem przeznaczono dodatkowo wiele nagród honorowych. Do zawodów zgłoszono 96 szybowców, dopuszczono jednak tylko 61 szybowców, a ostatecznie latało 59 szybowców.

Pod względem typów największy sukces ilościowy odniósł niemiecki konstruktor Hans Jakobs, ponieważ 40 szybowców, czyli dwie trzecie wszystkich maszyn, uczestniczących w zawodach, było jego konstrukcją.

Wyniki zawodów są imponujące. W ciągu 14 dni wykonano 513 lotów. Ogólna suma przelecień dosięgała astronomicznej cyfry 35 tys. km. Niektórzy z zawodników przebywali nawet po 500 km. O olbrzymim wysiłku, jaki był włożony w organizację zawodów, świadczy fakt, że druzniny techniczne, które jeździły lub latały po zabranie na szybowisko szybowców, które lądowały daleko od bazy, przebyły ogółem

w czasie zawodów 110 tys. km.

Podczas zawodów zdarzył się tragiczny wypadek. Pilot Rudolf Oelzschner zabił się w drodze powrotnej, którą odbywał na holu za samolotem. W pobliżu Selb w Bawarii pociąg szybowcowy chwycyony został przez silny wir, który rzucił go ku ziemi. Pilot samolotu zdołał opanować swój aparat zaledwie w odległości 70 m nad ziemią, natomiast szybowiec nie wytrzymał olbrzymich naprężeń i rozpadł się w powietrzu. Pilot szybowca zginął na miejscu, zwiększając liczbę ofiar szarych aparatu zaledwie w odległości 70 m. osób.

„Polska Skrzydłata”, która podaje w ostatnim numerze obszernie sprawozdanie z niemieckich zawodów szybowcowych zwraca uwagę na bardzo interesujące wyniki lotu szybowca motopowego. Mianowicie pilot Riedel popisywał się w Röhn swoim szybowcem motopowym „La Falda”. Ten szybowiec obok właściwości szybowca wyczynowego wysoki klasy posiada dzięki 18-konnemu silnikowi pełną swobodę ruchów. Jednym z zadań motorku wbudowanego do szybowca, jest umożliwienie pilotowi brania udziału w zawodach szybowcowych, a następnie wyruszenia przy pomocy silnika w swoją drogę, nie oglądając się na samoloty holujące lub na oddziały transportowe.

Imponujący rozwój szybownictwa w Niemczech jest śledzony bardzo uważnie przez wszystkie kraje szczególnie zaś przez Polskę, która na czoło swego programu lotniczego wysunęła właśnie sprawę kształcenia tysięcy rzesz pilotów szybowcowych, jako przyszłych kadr pilotów motorowych. Zawody, które odbędą się w Ustjanowej, pozwolą porównać wyniki osiągnięte przez szybowców polskich i niemieckich.